

DNA

W blaszanym barze mlecznym łazanki są tylko w piątki. *Przybij staremu* – mówi krępy ojciec do swojego trzylatka. Nasz trzylatek teraz bije się z kimś w przedszkolu. Panie tłuką krwiste kotlety. Krępy, być może, ma w kieszeni kastet i poświęci tu syna. Nie wiem, jak zdrobnić

imię Izaak (Izaś?). Jednak nic takiego nie następuje. *Ruskie, proszę. Na wynos* – mówisz nieswoim głosem. Chcę Cię całować w krtień, tulić struny, rezonans. Nasz chłopak, na szczęście, ma apostołskie imię. Rządzi, współistotny matce, przewodzi innym, jest królem przedszkola;

każesz mi zjeść łazanki. *To też się dziedziczy* (wskazujesz na krępego). Synalek ma puce, już mu puchnie brzuch. Bufetowa (anioł) krzyczy: *nie ma golonki!* Nalane policzki chłopca złością ściernie łyzy; a nasz będzie lepszy

w doprowadzaniu do nich. Łobuzów się wprowadzie nie kanonizuje, lecz mają powodzenie; to tak jak ty, kiedy świecisz na cały bar nie aureolą, tylko takimi lampami, jakimi się rozjaśnia kaplicę albo ring.

Próba trenu

Na panoramę (śnieg, niebo i skały) zabrakło skali. Tu: stopy metrycznej, słownych spełnień (czy coś obiecali? Że wejdą, wrócą?). Tam się wszystko rusza, drży, wbrew pozorom, z zimna i od wiatru: fermiony, bozony, każda głupia cząstka; tylko oni – nie. Szli, poręczowali, był trudny teren. Czy tren jest łatwiejszy?

(Sylaby ciszy). Bezruch nie ma końca, przemienia łączność w tępy sopel radia. Media dopełnią starań, żeby to rozdziobać. Już wystarczy. Tren nie jest tlenem. Jest na nic, bez sensu. Jest bez sensu – na nic. Asekuracja? Więc odpadam. Broad Peak? Dla mnie to brzmi jak nazwa cmentarza; a znam angielski (nie, nie próbuj sprawdzać).

Karmnik

Brokat mrugał z warkocza, kiedy powiedziała:
Mam okres, ale mogę ci obciągnąć, chcesz?
Nie cała była suką, miała kocie ślepia
i drapała nie gorzej. *Szesnaście. Już możesz*
– skwitowała wahanie. Wypadła z siebie
i wpadła (ot, na kawę), choć kolega bardziej

zasłużył, empatyczny, rozumiejący, jak
dobry lekarz od tych spraw (skąd one wiedzą, że
musi być skurwysyn, żeby dać bez pytań?).
Chwila, trzeba to domyc – wszędzie zostawiła
ślady szminki. Wróble też znaczą, co się tylko
da (czuję się jak karmnik). Kawa bezustannie

się topi. Zostaje lód. *Wolę szminkę od krwi*
– odpowiedziałem wtedy. A brokat przemienił
jej warkocz w kometę; i w trzepocie języka
odbijały się rzęsy, o czym nie wiedziała;
do tego trzeba choć raz spróbować tej frappé,
którą robią na Krecie; bo po niej jest odlot,

jeśli się przyzwyczaisz, to się już nie wznosisz:
mizerny wróbel dziobie coś naprędce, a lód
na rzece cicho krzepnie. Jest luty, ciągle luty
i krety śpią pod ziemią. Tylko nastolatki
mogą to łatwo przełknąć – reszta się zadławi.

Skąd chłód?

Piszę z przydrożnego parkingu. Strażniczki
lasu przysłano nam zza wschodniej granicy.
Wdzięczą się do ciężarówek, sprytne markietanki.
Jeśli zajdą, dyskretny felczer załatwi sprawę za nielekko
wyrzeżone dolary, w którymś ze śpiewnych krajów.
Jeśli się zarażą, przeniosą to dalej.

Przekręcą kluczyk. *Daruj sobie wnioski,*
masz tylko obserwować – powtarzam sobie,
więc siedzę w samochodzie, gapiąc się
na strażniczki wszczynające wiersz, złożone
w ofierze brzmienia V6, gdy tylko przymknąłem oczy.
Czy usłyszą, że mają złożyć się na raport
bez krztyny własnej refleksji, czy udadzą głuche?
I po ile się złożą? Każda da po słowie?
Tak się złożyło, nie dopytuj o „ostateczny sens”. Zostań
tu i się wsłuchaj: durna mucha puenty obja się o szybę,
bo myśli, że okno jest otwarte, a ja, w radiowozie,
mam klimę – stąd chłód.

Uwalniam się

Żarty się skończyły – umieranie nabrało
koloru klawiatury; przeszywa palce
niechronione dłużej rękawiczkami
z białych rytmów, śnieżnych form.

Przeżywa, kto śni, że jednak wziął linię,
że jednak wziął linię rytmu i może
się z nią wspinać, ale tam można się wspiąć
tylko na świeżo przegniłych palcach

z zatartą linią życia i każdą inną
linią, bo zaprawdę – trzeba się najpierw
rozłożyć, żeby nasycić sępa, kiedy sęp
jest samicą i zaczyna krążyć –

Rewir

Krążyła jak stara kurwa po swoim rewirze
w brezentową noc, gdy wszyscy postanowili,
jak jeden mąż, wrócić do żon i przykładowie
zamknąć się w formie – jeździć dieslami o kropelce,
nakarmić dzieci audiobookiem, nie przyznając
się przed sobą, że tęsknią za chwilą, gdy nad nimi
krążyła, gdy zapadał chłód – jak się tęskni za zimą,
pijąc lekkiego drinka przed snem, w nadmorskim
kurorcie, słuchając oddechu śpiącej żony, wsłuchując
się w jego chrzęst, marząc o jego zatrzymaniu, szukając
na jej gardle zgubnych miejsc.

Trójkąt

On teraz wraca z pracy, bo normalni ludzie
chodzą do pracy – nienormalny w naszym
trójkącie jestem tylko ja.

On ci zaraz zrobi herbatę – bo mąż jest od tego,
żeby włożyć do gorącej wody torebkę i wyjąć
po trzech minutach –

ja jestem od tego, żeby cię wysłuchać
przez telefon – przed czwartą. Po czwartej
wciąż jestem w domu, pod mailem. Czekam

na swoją zmianę, tak jak na zmarłych
czeka Cerber.

Wiersz napisany na tylnym siedzeniu

gdzie było całkiem nieźle. Nie byłaś pewna,
czy w łóżku byłoby nam lepiej, czy w wózku
byłoby lepiej temu, komu nie dane będzie
jeździć wózkiem, bo pozostał w lateksie –
niewidzialny wśród mnóstwa równie wątych
kolegów, jak Polak, blondyn na Dworcu
Warszawa Centralna o świcie. O świetle!
Czemu nas tak urządziłeś, że jesteśmy skazani
na tylne siedzenia, tylne rzędy w kinie,
niepękający lateks? Chyba, że się do środka
naleje wody (lepiej spróbować tego nad wanną).
Wtedy w końcu pęka z hukiem. Chyba, że się
zapomni lub nie użyje rozmyślnie (komu
z was się to nie zdarzyło, odpowiedzialne
czyścioszki, moralistki spod znaku ryby
i wszelkich innych znaków?) –

wtedy zostaje magiczna tabletką na receptę
albo wesele – zamiast kwiatów datki na hospicjum
dla psów, na dom dla niesamotnych matek. I ani
grama wódki. Bez wódki nikt nie będzie się
dobrze bawił, ale nie o to przecież chodzi,
żeby ktokolwiek dobrze się tu bawił.

Zachłanny przelot nad małą

Stąd stadiony, punktowe jak zmiany w zerowym
stadium nowotworu, są przenośnią ładnych
kibicek. Ich kwaśne miny (nasi znów knocą)
są tak nierówne skrytej słodyczy ich piersi,
jak autopilot łatwy względem sterowania
ręcznego. Licencję na latanie zdobyłem
po to, żeby na mecze patrzeć z wysokości.

A gdyby tak was podkręcić i podbić aż do braw,
rozdać tę małą mapę w wielki, wkurwiony kraj?

Dżamble

nie mają niebieskich rąk,
nie mają zielonych głów,
nie płyną po morzu sitem,

gdy tylko uderzę w gong,
różami ożywię grób –
staniecie, trupy, jak wryte.